

Wciąż nie mogłem przetrwać swojej porażki. Zastanawiałem się, co poszło nie tak. Czemu oni tak wspaniałej mądrości, którą ucieleśniałem nie chcieli docenić i to pomimo tego, że uratowałem ich życie!? Dlaczego byli tak niewdzięczni?! Stali się nikczemnymi istotami, których jedynym celem była śmierć. Nie zrozumieli komu zawdzięczali życie, więc nie zasługiwali na nie.

Może i nie zasługiwali na życie, jednak im dłużej ich nie było, tym bardziej mi ich brakowało. Wiedziałem, że jestem najdoskonalszą istotą i cudem w czystej postaci, jednak nie miałem przed kim pokazać swojego cudnego oblicza, ani nikt nie mógł go docenić.

Postanowiłem, że dam im kolejną szansę.

Utworzyłem kolejny klosz, w którym umieściłem te same istoty i nadałem mu taką samą specyfikę, żeby mogły żyć i rozwijać się po swojemu. Tym razem tylko spoglądałem na moje złowia, które ponownie wzrastały technologicznie i umysłowo. Po raz wtóry przyczynili się do podporządkowania klosza ku swoim celom. Nie ulegało wątpliwości, że zmierzali w dobrym kierunku i spoglądając na ich ponowny rozwój wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, kiedy zaczną zastanawiać się nad istnieniem. Skąd są, jak powstał, co było przed nimi, jakie były ich zadania w nicości i te i inne pytania, które zada każda myśląca istota.

Im dłużej spoglądałem na ich rozwój intelektualny, tym bardziej zaczynali mnie drażnić. Szczycili się swoimi osiągnięciami technologicznymi, a nie czcili mnie. Widząc to ponownie miałem ochotę zniszczyć ten klosz, jednak zauważyłem, że nie boją się śmierci.

Dałem im życie i śmierć. Z życia czerpali pełnymi garściami, więc czas najwyższy, żeby zaczęli się o nie obawiać. W tym celu utworzyłem jednego złowia, któremu powiedziałem.

- Przekażesz im, że po śmierci czeka ich wieczne potępienie. Będą płonąć żywcem, a piekielne istoty nie będą miały nad nimi litości. – Specjalnie mówiłem w jego języku, żeby wystraszyć go. – Jestem twoim ojcem i wysyłam cię do klosza, żebyś wskazał im drogę do mnie. Przekaż im to co usłyszałeś ode mnie i co widziałeś.

Po czym wysłałem go do klosza. Dokładniej obserwowałem jego ruchy, które już na pierwszy rzut oka różniły się od pozostałych. Przede wszystkim był przerażony. Bał się każdego kroku, nawet jego cień był dla niego straszny. – Dobrze, niech naje strachem innych. Wówczas zaczną mnie wielbić.

Wszedł wśród złowi i przekazywał im to, co mu powiedziałem. Muszę przyznać, że był bardzo dobrym mówcą. O strasznych rzeczach mówił z dygoczącym głosem, a o nagrodzie za wielbienie jego ojca, wieczna nagroda.

Część złowi słuchała go z uwagą, część natychmiast obaliła, a część wyśmiała i ci ostatni irytowali mnie najbardziej. Miałem ochotę ich zniszczyć, jednak po chwili uznałem, że trzeba ich też przekonać.

W tym celu utworzyłem kolejnego złowia, który zgadzał się z poprzednim, lecz, jeśli nie będą mnie czcili, wówczas spadnie na nich potężna kara (a ja już wiem, co nią będzie). Wysłałem go do klosza, żeby przestraszył pozostałych.

Dwóch moich mówców zdobywało coraz większą rzeszę wybranych, ale również i dużo przeciwników, którzy mnie denerwowali. Byli zatwardziałymi głupcami i nie wierzyli słowom tych dwóch. Uznałem, że skoro byli tak pewni swoich poglądów, to trzeba im udowodnić, jak bardzo byli w błędzie.

Z nali rozpętałem potężne fale, które zalały dom. Porwały ich domostwa oraz cały majątek życia. Zniszczyła dom i życie na nim, a cały mój kataklizm przeżyła wyłącznie garstka złowi. Wiedząc, że więcej ich nie może zginąć, bo nie odrodzi się populacja uspokoilem katastrofę i pozwoliłem im żyć po swojemu.

- I co nadal uważacie, że kloszowi nic nie zagraża?

Nie uważali już tak. Wierzyli moim dwóm prorokom i zaczęli oddawać mi należną cześć. Próbowali wyobrazić sobie mnie w jakiegokolwiek postaci. Dla jednych byłem nadzłowiem, który posiadał magiczne moce. Inni utożsamiali mnie z anderą. Jeszcze inni jako tuptaja, który ma na sobie książkę, w której skrywana jest wszelka mądrość. Pojawiły się również wizje rozgwiezdy, która kontrolowała tyle żywiołów, ile miała odnóży.

- Kontroluję pięć żywiołów?! Jestem znacznie potężniejszy!

Oburzyłem się, aczkolwiek nie miałem zamiaru się mścić, za to, że czczą mnie pod swoją postacią. Wiedziałem, że tak się stanie i pozwoliłem im na to. Oni nie byli na tyle godni, żeby mnie widzieć w najwspanialszej okazałości.

Mogłem w końcu rozmarzyć się w swojej boskości. Nareszcie zaczęli mnie wielbić, za to, że jestem wielki i godzien chwały, na jaką zasługiwałem. Byłem najważniejszą częścią ich życia i w zamian oczekiwali nagrody wiecznego życia. Oczywiście, że go dostąpią, a gdzie, to przecież nie miało to tak wielkiego znaczenia. Wierzyli, że było życie po życiu. Jakim trzeba być idiotą, aby wierzyć w takie dyrdymały?! To ja byłem ich życiem i śmiercią i to ja decydowałem, kto jest w stanie dostrzec mnie w pełnej okazałości. Nikt z nich nie był godzien, a moi mówcy widzieli tylko moje wyobrażenie.

Ciesząc się moim uwielbieniem zauważyłem, że część złowii zaczęła zastanawiać się, co z tymi, którzy nie wielbili mnie wcześniej. Czy na nich czekało wieczne potępienie? Pytali mówców, którzy nie wiedzieli jak odpowiedzieć. Musiałem im ją dać, tylko jak mogę je połączyć z pozostałymi kwestiami?

Wpadłem na wspaniałą pomysł. Potrzebowałem kolejnego złowia, któremu powiedziałem:

- Istoty, które umarły wcześniej, są potępione, ale poprzez Twoją śmierć zostaną wybawione i przejdą do krainy wiecznej szczęśliwości.

Wrzuciłem go do klosza i nie dość, że szerzył nauki zgodne z pozostałymi mówcami, to jeszcze wspominał, że ojciec, czyli ja, wybawi je z wiecznej męczarni. Został stworzony, żeby móc wybawić istoty cierpiące potworne męki. Nie rozumieli jego słów, ale robił również cuda, dzięki którym stawał się wiarygodny. Nie przypominałem sobie, że bym nadawał mu jakieś specjalne moce, ale póki kieruje inne złowia bezpośrednio do mnie, to mogę mu wybaczyć moje minimalne niedopatrzenie.

Miałem wrażenie, że przez niezrozumienie jego nauk, zbierał coraz więcej wrogów, aż w końcu wszyscy zawistnicy skazali go na śmierć. Zaskoczyli mnie. Czemu zabili kogoś, kto kierował ich bezpośrednio do mnie? Gdy go zabijali drwili sobie z jego słów.

- Innych wybawiał, sam siebie nie może wybawić!

Zrobiło mi się go szkoda, lecz natychmiast zdałem sobie sprawę, że jeśli jego słowa miały być prawdziwe, to musiał nadejść kataklizm, o którym wspominał. W tym celu zatrząsnąłem kloszem tak, że dom i nala zgubiły swoje miejsce i potrzebowały chwili do powrotu. Dopiero wtedy złowia zaczęły mu wierzyć, a zbiegło się to z czasem jego śmierci.

Od tego momentu powstał nurt, który czcił męczennika i mnie, jako jego ojca. Wierzyli, że osoba, która została zabita wskrzesiła martwych do wiecznego życia, więc czcili mnie, jako osobę, która wybawiła ich od śmierci wiecznej. Nurt tej osoby rósł coraz bardziej i bardziej, aż w końcu większość złowii czciło moją boską postać.

Rozsiadłem się wygodnie wokół klosza. Nastąpiła moja chwała, którą złowia wypełniały całkowicie. Słyszałem na swój temat wspaniałe poematy i to nawet śpiewane. Budowali na moją cześć budynki, które nazywały kościołami. Organizowały wielkie imprezy, na które nawet nadawali dzień wolny od pracy. Świątują go wielbiąc mnie.

- Nareszcie się dokonało.

Patrzyłem na świętujące złowia i po raz pierwszy w trakcie całego mojego istnienia byłem z nich dumny. W końcu mogli sobie powiedzieć, że byli godni przebywania w moim kloszu.

Z biegiem czasu pojawili się również inni prorocy, którzy głosili podobne nauki do trzech wcześniejszych i zgarniali również swoją rzeszę wyznawców. Początkowo nie wiedziałem, czemu to robili, lecz skoro wyznawali mnie pod innymi postaciami, to czemu miałem się wściekać? Powstawało już coraz więcej twórców mnie. Było ich tyle, że przestałem liczyć. Jakkolwiek mnie czcili, nie miało to znaczenia, póki to robili zasługiwali na mój szacunek.

Spoglądałem na jednego złowia, który wyznawał nauki głoszone przez męczennika i ... zaczynał mieć wątpliwości. Zajrzałem w głąb niego i nie rozumiał, który mówca mówił prawdę, bo chociaż wszyscy mieli podobną koncepcję, jeżeli chodzi o istnienie życia po śmierci, to jednak on dostrzegał różnice w naukach innych mówców.

Miałem nadzieję, że ten jeden był wyjątkiem od reguły, a okazał się nową regułą. Dostrzegałem coraz więcej złowij, które wątpiły w nauki mówców. Wątpiły w wyznawanie mnie! Jak można wątpić w czczenie czegoś co jest po prostu doskonałe?!

Po raz wtóry miałem ochotę zniszczyć cały klosz, jednak uznałem, że trzeba sytuację jakoś uregulować. Jedyne sposb, to sprowadzić im kolejnego złowia, który uporządkuje twierdzenia poprzednich. Stworzyłem jego postać, uformowałem twierdzenia pozostałych i zesłałem go do klosza. Śledziłem jego misję i całkowicie inaczej mówił, niż poprzednicy. Myślałem, że to wystarczy, ale stało się coś zupełnie innego.

Chociaż nie nauczyłem go nienawiści i on nie przekazał jej pozostałym, nienawiść zatruta ich serca i przekazywali ją pozostałym złowiom. Gardzili każdym. Zachowywali się jak jakaś organizacja, do której wstęp ma co prawda każdy, ale każdy musiał wyznawać ich poglądy inaczej czekało ich potępienie i śmierć.

Nie mogłem zrozumieć, na jakiej podstawie tak bardzo nienawidzili drugiego złowia.

Najpierw myślałem nad ukaraniem ich, ale potem uznałem, że już dość karania ich. Sami musieli pojąć, że źle postępowali, temu pozostawiłem ich samych sobie.

I to był mój bład. Złowia, nie wyznające twierdzenia tego, który uporządkowywał myślenia wszystkich mówców, natychmiast zebrały swoją grupę i stanęły przeciwko tym wyznającym jego naukę. Rozpoczęły się walki między nimi, które momentami przybierały opłakane w skutkach konsekwencje. Nie tylko zabijali się nawzajem, ale również niszczyli klosz! Ten sam klosz, w którym żyli! Nie zasługiwali na życie! To kpina, że w nim istnieli! Tylko ja mogłem zniszczyć życie tam panujące!

Patrzyłem zniechęcony na złowia żyjące w kloszu i wiedziałem, że nie potrzebują mojej pomocy do zniszczenia klosza. Same to zrobią.